

PUŁAPKI TŁUMACZENIA „Z POWROTEM” NA JĘZYK OJCZYSTY ORAZ INNE – ZDRADZIECKIE, UROCZE i WSZECHOBECNE

Philip Earl Steele

Autor – historyk i filolog klasyczny z amerykańskiego stanu Idaho – od 1992 r. jest wykładowcą w Instytucie Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1994 r. jest redaktorem kwartalnika „Polska w Europie”, poświęconego polskiej polityce zagranicznej. W latach 2000-2001 był naczelnym redaktorem językowym miesięcznika „Dialogue and Universalism”. Od 1997 blisko współpracuje z wydawnictwem Biblioteki Narodowej jako redaktor i tłumacz. Ostatnio jego autorskie teksty ukazały się m.in. w: „Archeologii Żywej”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Znaku”, „Gościu Niedzielnym”, „Więzi”, „Crisis” (USA), „Międzynarodowym Przeglądzie Politycznym” oraz „Lingua Legis” (nr 11).

Jako Amerykanin zamieszkały od dawna w Polsce i tłumacz tekstów polskich na język angielski mam okazję obserwować zjawiska komunikacji językowej z własnego - często szczególnego - punktu widzenia. W tym artykule chciałbym podzielić się spostrzeżeniami, które być może okażą się godne refleksji.

Jedną z – przyznaję, dość wąskich – kwestii, które tu poruszę, dotyczy tego, co może się dziać, gdy rozmawiają ze sobą osoby dwujęzyczne i zwłaszcza gdy tłumaczą innym, często znającym tylko jeden z tych dwóch języków, o czym rozmawiają.

Taka wymiana zdań może wyglądać bardzo różnie. Weźmy jako przykład rozmowę między Polką znającą francuski a Francuzem znającym język polski. Zresztą, kiedy każdy z nich nawet słabo zna ojczysty język swojego rozmówcy, to z pozoru banalne zdanie: „pies merda ogonem” może nabrać dość specyficznego zabarwienia.

Wystarczy zastanowić się chwilę i dużo podobnych przykładów przyjdzie nam do głowy. Nauczyłem się, że gdy rozmawiam z Polakami po angielsku, lepiej omijać cały szereg skądinąd bardzo użytecznych słów. Dla Polaka takie zdanie jak „he really pampers his kids” ma wydźwięk – a może i znaczenie – inny niż zamierzony, gdyż słowo „pampers” (jeśli niewinnie powiedziane) znaczy po prostu „hołubi”. Tak samo gdy Polak mówi Amerykaninowi, że jego dziewczyna czesze włosy „w kok”. W pierwszej chwili anglojęzyczny rozmówca wyobrazi sobie kształt tej fryzury zupełnie inaczej niż Polak.

Na marginesie, chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że omawiana sytuacja często wzbogaca wymianę myśli. Oto przykład. Gorliwie koresponduję z Polką, która od 20 lat mieszka w Stanach. Ona na ogół pisze do mnie po polsku, ja do niej - na ogół - po angielsku. Na ogół. Bo całkiem niedawno skomentowała jedną z moich - co prawda kąśliwych - uwag po angielsku: „Hhhmmm... mordant irony, I take it”. Oto prawdziwy majstersztyk! Słowo „mordant”, czyli „kąśliwy” właśnie, jednak gryzie jeszcze ostrzej, gdy Polak go używa. Albowiem fonetyczne podobieństwo słów „morda” i „mordant” wzmacnia znaczenie i nadaje całości wydźwięk humorystyczny.

Bywa tak – może i częściej niż nam się wydaje – że rozmowy o USA czy też o Wielkiej Brytanii prowadzone w języku polskim są tłumaczone na angielski. I odwrotnie – to, co jest napisane w języku angielskim o Polsce, zostaje przetłumaczone na polski. Można rzec, z powrotem na język ojczysty. Nie należy się więc dziwić, że światowa prasa, ministerstwa spraw zagranicznych i wielu z nas osobiście, zajmuje się

roztrząsaniem kwestii językowych. Często tak bywa w mojej pracy w Bibliotece Narodowej, gdzie na przykład niedawno wydaliśmy dwujęzyczną pracę o dworze Fawley Court nad Tamizą. Podstawą był polski tekst, zatem w dużej mierze przyszło mi przekładać go „z powrotem” na angielski. Z podobnymi problemami stykam się również w redakcji „Polski w Europie”, pisma poświęconego polityce zagranicznej Polski, jej miejscu w Europie i w NATO. Często – siłą rzeczy – mam do czynienia z rozprawami o polityce i działaniach USA. Teksty te z reguły powstają na podstawie materiałów anglojęzycznych, a więc użyte w nich kluczowe pojęcia oraz terminologia są spolszczeniami. Tłumacząc je z powrotem na angielski, łatwo można wpaść w pułapkę „głuchego telefonu” – łatwo wtedy też pisać językiem drętym, drewnianym, dalekim od języka żywego.

Jedno z ciekawszych takich doświadczeń miałem pracując nad przekładem najnowszej książki pani profesor Staniszkis, zatytułowanej *Władza globalizacji*.

Otóż trzeci rozdział *Władzy globalizacji* przynosi przede wszystkim rozważania, czy federalizm amerykański stanowi model globalnego porządku. Zawiera więc głęboką analizę początków amerykańskiego konstytucjonalizmu w późnym średniowieczu, owego właśnie federalizmu, istoty państwowości amerykańskiej, oraz znaczenia społeczeństwa obywatelskiego dla tego systemu politycznego. Czyli o Ameryce, za pomocą prac amerykańskich uczonych – ale w języku polskim. Przekład na angielski zatem w znacznym stopniu jest właśnie „powrotem” do języka angielskiego.

W pracy nad rozdziałem o federalizmie amerykańskim raz po raz trafiałem na sformułowania, których rygorystycznie wierne tłumaczenia brzmiałyby drętwo, obco – niezgodnie z tym, jak utarło się o tych kwestiach mówić czy pisać w Stanach.

Przytoczę trzy przykłady, gdzie musiałem sięgnąć po zwroty utarte, które same się zresztą w tych przypadkach narzucały.

Oto pierwszy z nich. Jest to ustęp, w którym akcent pada na następujący fragment: „*Rozładowywaniu konfliktów sprzyja także silnie rozwinięty wymiar lokalności*”. W pełnym brzmieniu wygląda on następująco:

„Właściwe [amerykańskiemu] systemowi traktowanie konfliktów jako czegoś naturalnego ułatwia ich rozwiązywanie i nie dochodzi do polaryzującej społeczności polityki tożsamości. *Rozładowywaniu konfliktów sprzyja także silnie rozwinięty wymiar lokalności oraz antyideologiczność*”

Co prawda, nawet nie bardzo wiem, jak przełożyć na angielski „silnie rozwinięty wymiar lokalność” w tym kontekście. Chyba każdy z nas czuje, że „strongly developed dimension of locality” nie ma sensu. Przepraszając za łopatologię, powiem tylko tyle, że trzeba było wejść w zestaw angielskich skojarzeń wokół przecież w pełni zrozumiałego tematu i znaleźć jakieś bardziej przystające do kontekstu zwroty. Przyszły na myśl takie wyrażenia jak: „local initiative”, „grass roots efforts” itp., aż w końcu zjawił się zwrot „act locally”. Jest to świetnie pasujący zwrot – i właściwie połowa powszechnie znanego, czcigodnego już hasła „think globally, act locally”. Zatem w tłumaczeniu stosowałem „act locally” w następujący sposób:

“Thus, [the American] system’s characteristic treatment of conflicts as something natural facilitates their resolution and does not engender a “politics of identity” that would polarize society. *What also fosters the timely settlement of conflicts is the deep-seated injunction to “act locally” – along with the disdain of ideology*”.

Oto drugi przykład: jak się zdaje, pani profesor jest wtajemniczona we wszystko. Dotyczy to również historycznego i lingwistycznego znaczenia słowa „frontier” w języku angielskim. „Frontier”, zwłaszcza w Ameryce Północnej, wcale nie oznacza „granica”. Wręcz przeciwnie! „Frontier” odnosi się do rozległych, otwartych i jeszcze niezbadanych terenów. Joanna Petry Mroczkowska, w książce pt. „Amerykańska wojna kultur” (1999 r.), tłumaczy „frontier” jako „otwarte przestrzenie, bezkresna droga”. W kontekście bowiem amerykańskiej ekspansji na zachód w XIX wieku, słowo „frontier” zaczęło określać tereny *za* granicą państwa. Dodam, że przeprowadziłem w sprawie „frontier” nieformalny sondaż wśród znajomych mi Anglików. Wszyscy bez wyjątku stwierdzili, iż kojarzą to słowo z Ameryką, z Dzikim Zachodem. Co więcej, odnosząc się do europejskich realiów mówili mi, że – na przykład – „the German-Polish frontier” lub „the Swedish-Norwegian frontier”, to też nie granica, lecz szerszy czy węższy pas transgraniczny.

Choć jak Polska długa i szeroka wszędzie tłumaczy się „frontier” jako „granica”, to profesor Staniszkis nie powtórzyła tego błędu. Analizując słynne zagadnienie „The significance of the frontier in American history”, jedno z ważniejszych uwarunkowań amerykańskiego imperializmu, napisała o „braku granicy zachodniej”. Cóż – „lack (or: absence) of a western border” jest najzupełniej zrozumiałe, ale razi nieswojskością. Może nawet sugerować nieznajomość poprawnej terminologii. Zatem – o dziwo – „brak granicy zachodniej” należało tłumaczyć jako „existence of the frontier”. Taki musi być ukłon w kierunku *skopos*’u czyli odbiorcy.

I wreszcie trzeci przykład: Profesor Staniszkis dowodzi, że w USA nie ma państwa w europejskim znaczeniu. Píše: „Celnie ujął to Hegel, ironizując, że w Stanach Zjednoczonych istnieje społeczeństwo obywatelskie, ale nie ma państwa”. Woli zatem pisać o amerykańskim „systemie rządzenia” a nie „państwie” – choć czasem stosuje wyrażenie „uspołecznione państwo”, które to określenie nie tylko trudno przełożyć w ogóle („societally-based state”?), ale wręcz przywołuje sentencję Lincolna: „government of the people, by the people, for the people” – „rządy z ludu, przez lud i dla ludu”. I tak „uspołecznione państwo” zostało przełożone – wiernie, swojsko i ze zdecydowanie lepszymi konotacjami niż – przykładowo – „societally-based state”.

Wśród tłumaczy nie budzi sprzeciwu stwierdzenie, że wierność oryginałowi nie jest jedyną słuszną zasadą w translatoryce. Bo wiadomo, że tłumacz musi też wykazać wytężoną wrażliwość na *skopos*. Walka o dominację pomiędzy tymi zasadami trąci myśzką.

Jednak wrażliwość na *skopos* wymaga nieraz czegoś więcej niż kosmetyczne zabiegi, nieraz czegoś więcej niż, na przykład, wkomponowanie w tekst docelowy pozaleksykalnej wiedzy, przypuszczalnie posiadanej przez odbiorcę oryginału. Wymaga nieraz – co czasem budzi sprzeciw – udziału tłumacza w charakterze redaktora.

W idealnym świecie być może byłoby inaczej. Redakcja zawsze składałaby się z wysoko kwalifikowanych osób, przygotowanych do zweryfikowania pracy tłumacza i zredagowania jej technicznie i stylistycznie. Poza tym, oryginał zawsze byłby świetnie napisany...

Z mego doświadczenia wynika, że pierwsze „zawsze” nie zdarza się nigdy. No – prawie nigdy. Moje prace na ogół idą od razu do łamania, i dopiero wtedy mam okazję przeczytać wszystko i wprowadzić poprawki, zanim tekst pójdzie do drukarni. Co prawda autorzy z reguły - bardziej lub mniej uważnie - czytają przekłady, ale rzadko ich udział

może być określony jako „redaktorski”. Poza tym w Bibliotece Narodowej, pracują świetne redaktorki techniczne, które pilnują, ażeby konwencje dotyczące przypisów, bibliografii itp. były przestrzegane, ale nie znają one niestety angielskiego.

Wiem, że moja sytuacja nie jest do końca analogiczna do sytuacji polskich tłumaczy, niemniej sędzę, że – choćby z finansowych przyczyn – tam, gdzie wielu z polskich kolegów pracuje, też brakuje redaktorów, zwłaszcza tych, którzy znają angielski, w związku z czym koledzy ci też są skazani wyłącznie na siebie.

Ta – zgódźmy się – podwyższona odpowiedzialność wymaga, abyśmy szerzej określili naszą rolę jako tłumacze – abyśmy świadomie poszerzyli ją o obowiązki redaktora.

Moja praca przede wszystkim w Bibliotece Narodowej, ale także dla Ministerstwa Kultury, różnych instytucji uniwersytetu, PAN-u oraz „Polski w Europie” ma za zadanie – niekoniecznie pierwszoplanowe – promowanie polskiej humanistyki, roli Polski jako eksportera stabilizacji w Europie środkowowschodniej oraz ogólnej wiedzy o historii i kulturze Polski. Słowem, chodzi – choć w skromnym wymiarze – o wizerunek Polski.

Tu chciałbym złożyć donosy na siebie, by zaznaczyć zasięg ingerencji, na jaką sobie pozwalam podejmując te zadania. **Donos pierwszy:** wiosną zeszłego roku przełożyłem książkę (zbiór czterech tekstów) o historii Unii Europejskiej. Nie uprzedzając poszczególnych autorów, uzupełniłem ich teksty o dodatkowe informacje – w jednym przypadku w celu złagodzenia skrajnej frankofilii, w drugim przypadku w celu przypomnienia roli Planu Marshalla. Dwie autorki frankofilskiego tekstu nie zgodziły się na moje „wtręty”, ale autor największego tekstu był wdzięczny za to, co napisałem o Planie Marshalla i wszystko to w polskim tekście uwzględnił.

Donos drugi: jedno z pism, z którym współpracuję, regularnie organizuje konwersatoria, z których publikujemy obszerne materiały, również w języku angielskim. Jednak w przeciwieństwie do polskiej wersji, w angielskiej omijam bardziej osobliwe uwagi, nieraz lekko zwariowane czy świadczące o pewnych kompleksach. Może niesłusznie, ale redagowania materiałów do użytku wewnętrznego wydają mi się inne niż zasady dla materiałów „na zewnątrz”. **Donos trzeci:** niedawno przełożyłem książkę o średniowiecznym psalterzu. Jednak autor jakby przeoczył pochodzenie Księgi Psalmów, zdaje się mianowicie, iż zapomniała, że powstała ona w judaizmie. Napisała: „sięgająca tradycji żydowskiej, przypisana królowi Dawidowi, *Księga Psalmów* [...] jest jedną z podstawowych i najstarszych ksiąg chrześcijaństwa. [...] Od początku swego istnienia był psalterz księgą liturgiczną. Choć nie służył sprawowaniu Eucharystii, wykorzystywano go w praktykach *Officium Divinum*”. Jeśli problem ten jest trochę ezoteryczny dla niektórych, to pozwolę sobie wyjaśnić, że chodzi o przywłaszczanie Księgi Psalmów, Księgi, która należy do tradycji judeo-chrześcijańskiej – a nie - broń Boże - tylko do chrześcijańskiej. Poza tym, owszem – „od początku swego istnienia był psalterz księgą liturgiczną” – i to przez całe niemal milenium przed narodzeniem Jezusa. Zatem nie powinno dziwić, że nie służył wtedy Eucharystii!

Sprawa jest nieco szersza, ale by skończyć ten wątek, powiem tyle, że wprowadziłem potrzebne moim zdaniem zmiany – i autor wszystko wdzięcznie przyjął.

Moja ostatnia refleksja jest taka, że nieraz, by lansować polską perspektywę, trzeba świadomie walczyć z innymi perspektywami. Mam konkretnie na myśli fakt, że w Stanach, a może i całym zachodnim świecie, panuje rosyjska historiografia. To

powszechnie znany problem w pracach o Europie środkowowschodniej, może zwłaszcza tam, gdzie chodzi o historyczny status terenów należących dziś do Ukrainy, Białorusi i Litwy. Temat jest obszerny, ograniczę go jednak do tego, że w języku rosyjskim nie ma odpowiednika polskiego słowa „Ruś”. W rosyjskim jest tylko „Rosja”. W Stanach, wiem z autopsji, standardowe podręczniki zaczynają narrację historii Rosji od „Russian Kiev”. Potem następuje bardzo ciekawa dyskusja, czy raczej „gdybanie”, o tym, co byłoby, gdyby Rosja powstała nie wokół Moskwy, lecz wokół Nowogrodu Aleksandra Newskiego albo wokół – jak tam piszą – „the Lithuanian-Russian state”. Wyjaśniam, że nie ma takich tworów jak „Russian Kiev” czy „the Lithuanian-Russian state” w polskiej historiografii. I słusznie! Niełatwo więc omówić historię tych ziem w języku angielskim z perspektywy polskiej. Konwencje trzeba odrzucić na rzecz nowych sformułowań. I tak właśnie staraliśmy się zrobić w Bibliotece Narodowej w książce wydanej z serii „Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenia” o historycznych kontaktach polsko-rosyjskich.

Na koniec pragnę sformułować jeszcze jedno prowokacyjne stwierdzenie. Otóż na podstawie własnego doświadczenia wyniesionego z różnych redakcji oraz ze współpracy z różnymi tłumaczami, jestem przeświadczony, że lingwista to nie filolog. A w każdym razie nie musi nim być. Powiem więcej - często zadaję sobie pytanie: czy lingwista jest humanistą? Skłonny jestem twierdzić, że nie. Ale mowa tu o tłumaczach. Otóż tłumacze – i to nie tylko ci, którzy przekładają teksty z dziedziny humanistyki – muszą fachowo znać historię, kulturę, zwyczaje i społeczeństwo, na którego język te teksty przekładają. Elsewise, their work defeats its purpose.

SUMMARY

This article begins by taking a romp through a range of the tangled situations translators can find themselves in when they wind up having to translate back into their own languages, in this case, back into English. Many of the examples cited are drawn from translation work on a Polish-language book that focuses in one of its chapters on the American political narrative. Inasmuch as important areas of that chapter arose through analysis of English-language materials, much had to be “put back” into English.

The second part of the article draws attention to the translator’s need to consciously work as an editor, as well, in preparing materials for publication. A number of telling examples are provided to stress this point, all from work in Warsaw on important materials to be published for a foreign readership. In furtherance to the many points made in his article, the author stresses in closing that translators must make themselves competent in the culture *writ large* of the languages they deal in.